

dr Piotr A. Stasiak

Nieznane epizody powstania styczniowego na ziemi kutnowskiej.

O powstaniu styczniowym, mimo upływu 150 lat, pojawiają się wciąż nowe informacje. Także dzięki cyfryzacji wydawnictw pojawiają się nowe źródła, dotyczące również ziemi kutnowskiej. Tak jest w przypadku barwnie opisanych wydarzeń, które miały miejsce w Dobrzelinie w 1863 roku. Wiosną 1932 roku w lokalnym czasopiśmie dwutygodniku: „Kronika Parafialna” wydawanym w Będzinie - Porąbce w parafii św. Barbary w diecezji Częstochowskiej, pod red. Józefa Krzyżanowskiego w drukarni „Nakładowej”¹, ukazały się wspomnienia Marii Nadolskiej – Hołubskiej, wnuczki Józefa Nadolskiego, administratora dóbr dobrzelińskich należących do Władysława Łubieńskiego.



Fot.1.Parafia pw. NMP Częstochowskiej w Sosnowcu-Porąbce (pierwotnie pw. św. Barbary) została ustanowiona 19 października 1924 r. przez biskupa kieleckiego Augustyna Łosińskiego. Pierwszym proboszczem został ks. Józef Krzyżanowski.

„[...] Dziadek będąc już starszym człowiekiem, nie miał dość sił i zdrowia, aby iść do partii, ale w powstaniu brał bardzo czynny udział jako urzędnik wojewódzki, z ramienia tajnego Rządu Narodowego w Warszawie, zajmował się aprowizacją partii, dostarczał dowódcom wiadomości o ruchu Moskali, przygotowywał nadciągającym oddziałom noclegi, it.p.

Na dłuższy czas przed powstaniem dziadek zajmował się przygotowaniem ludzi i terenu do jego wybuchu, w czym pomagał mu Mieczysław Chrzóstowski, urzędnik cukrowni w Dobrzelinie, a właściwie człowiek przysłany specjalnie na agitację w celu formowania partii i Zawadzki, późniejszy dowódca oddziału u Syrewicza.

Dzięki temu oficjaliści, robotnicy, służba ze starym zaufanym stróżem Mikołajem na czele rozumieli dobrze cel powstania i trzymając razem ze dworem, utrudniali Rosjanom zgnicenie i rozbięcie kręcących się w okolicy oddziałów Syrewicza i Bronisławskiego.[...]

¹ „Kronika Parafialna”, 1932, nr 6 – 12, 16 -18, 1933, nr 1. Dobrzelina dotyczą też nr z 1933 r., nr 2, 8, 13, 1934, nr 1, 4 – 7, oraz 15 – 22, 1935 r., nr 1 – 5, 7 (związane z Syrewiczem, ale wydarzenia we Włocławku) Biblioteka Jagiellońska, 2673 III czas., Identyfikator dokumentu cyfrowego: NDIGCZAS003407

Świeży, czerwony poranek roku Pańskiego 1863 zalewał ziemię potokami słońca. Powietrze, choć nagrzane, zachowało resztkę wiosennej świeżości, to też cały park zdawał się rozwijać i rozkwitać do słońca. Soczysta barwa liści, choć już ściemniona pierwszymi powiewami lata, świeciła jeszcze miejscami jaśniejszym tonem zielenie, po trawnikach lilie, irysy i róże zdawały się w oczach pęcznić i rozwijać nabierając ciepłych mocnych tonów, woń jaśminu, lip i akacji nasączała powietrze upajającym aromatem. Nad kwiatami złociły się pszczoły, bąki i osy mącąc swym brzękiem jedynie ciszę wczesnego poranka.

Na bocznym ganku dobrzeleńskiego dworu stał pan Józef N. i przysłaniając oczy ręką patrzył upornie w stronę wsi, gdzie pomiędzy dwoma rzędami chat białął szeroki trakt do Pniewa.

Widocznie ta niczym nie zakłócona cichość budziła w panu Józefie jakieś tajone obawy, bo w twarzy miał źle skrywany niepokój i zdenerwowanie.

Nareszcie w ciszę wiejskiego poranku wmieszał się daleki turkot. Patrząc odetchnął i uspokojony widocznie poszedł w kierunku bramy wjazdowej, kędy koło figury Matki boskiej droga zakręcała przed podjazd. Z pomiędzy chat wylaniał się właśnie długi szereg ladownych wozów, które skrzypiąc ciężko ciągnęły wolno pod dwór.

Przed jednym z nich szedł szpakowaty, krótko ostrzyżony, z twarzą czerstwą i czerwoną, pełną fantazji i sprytu, stary stróż folwarczny, kierujący widocznie całym transportem.

- I cóż Mikołaju – spytał pan Józef – nie zwróciliście niczyjej uwagi ? nie obudzili podejrzeń ?

- I, nie, jasnie panie ! Wszystko poszło jak z płatka. Wyladowaliśmy skrzynie w Pniewie, urzędnicy kolejowi nie wiedzieli co w nich. Myśleli pewnikiem, że coś dla fabryki, albo gorzelni, bo tu wszędzie napisane „uwaga”, „ostrożnie”, „szkło”, a w mieście i dalej po drodze nie spotkaliśmy nikogo podejrzanego.

- To chwała Bogu ! nie miałem spokoju pókiście nie wrócili. Przecież to transport nieocenionej wprost wartości uprzęż, siodła, mundury, broń - zwłaszcza broń dla całego szwadronu ułanów. Chciałbym to jak najprędzej wyprawić dalej.

- żeby tylko kto nie wygadał !

- Uprzedźcie służbę co ma mówić na wypadek niespodziewanej rewizji. Przywieziono z daleka wozami i zrzucano przed pałacem. Nikt nie wie skąd, o kolei ani wspomnieć, żeby zarząd niepotrzebnie nie odpowiadał. I tak ich ciągle podejrzewają o pomaganie powstańcom. Czy kwity i nalepki zniszczone ?

- Naturalnie, wszystko wedle rozkazu.

W tej chwili żywą rozmowę zmaciło hulaśliwe ujadanie psów. Od strony zabudowań folwarcznych gromada chartów wielkimi susami wypadła z opłotków, kudłate, gładkie, białe, żółte, laciaste, obskakiwały szczekając radośnie ośmioletniego chłopczyka, który z rozwianą czuprynką, błyszczącymi oczami i zarumienioną twarzą biegł w stronę wozów.

- Dogoń leżeć. Pójdiesz Kula ! do nogi. Łap Cap! – wołał zdyszany, dopadając do pana Józefa – tatusiu co to przywieźli ze stacji ? słysząc turkot myślałem , że mama wróciła z Witoni, a to jakieś skrzynie. Można zobaczyć ?

- Ależ Stasiu, skrzyń nikt teraz ruszać ani otwierać nie będzie. Nie bądź taki ciekawy! Zresztą po co się tu kręcisz razem ze swoimi psami i robisz niepotrzebny zamęt ? Zabierz w tej chwili charty i zamknij w budzie. Znowu uduszą jaką owcę, jak ostatnim razem.

Na wspomnienie niemilej przygody Staś gwizdnął na psy, ale nie odszedł i dalej bobrował między wozami.

- No, już po najgorszym strachu – myślał z zadowoleniem pan Józef – teraz byle do lasu dostawić. Syrewicz już się doczekać nie może, ciągle kogoś z zapytaniem posyła.

- Gdzie będziemy składać ? – zapytał Mikołaj.

- Można chyba na wozach zostawić, nocą powieziemy dalej, to zdejmować się nie oplaci.

Zaczęto wyprzęgać powoli konie i odprowadzać je do stajen. Mikołaj poganiał fornali, opatrywał skrzynie, czy się czasem nie uszkodziły, lub obluzowały, szczególnie na dużym półtoraku, gdzie ustawiono najcięższe paki z bronią. Nagle stanął ja wryty.

- W imię Ojca i Syna ! czy mi się w oczach ćmi ?!

- Co się stało ? – spytał zaniepokojony nagle pan Józef.

- Wiatraki !

Oczy pytającego pobiegły we wskazanym kierunku i skamieniały w przerażeniu. Rzeczywiście z wiatrakami w stronie Żychlina działo się coś niezwykłego. Choć wiatr wiał ze wschodu wiatraki jak okiem sięgnąć stały śmigłami obrócone na północny – zachód w kierunku Dobrzelina (dziadek miał zorganizowaną sygnalizację przy pomocy wiatraków, w ten sposób zawsze był uprzedzony skąd ciągną Moskale). Górna śmiga wypierzona sterczała jak szkielet do góry.

- Od Żychlina Moskale idą!

- Muszą już być blisko, bo i nasz wiatrak stoi !

- Co robić ? Jezus, Maria ! co robić ?

- Zabiorą wszystko ! Najgorsza broń, bo o nią najtrudniej.

- Broń ja panie ukryję ! – zawołał Mikołaj. – Nie odpręgaj ! – huknął na parobka – jedź pod gorzelnię co koń wyskoczy !

Pan Józef tymczasem opanował już sytuację.

- Wozy na podwórze ! Żywo! Skrzynie ustawić w tej starej pralni co na uboczu stoi.

Sprawni parobcy w mig spełnili rozkaz.

- Stasiu, chodź tu z psami bawić się przed domem – zawołał pan Józef na synka, siadaj na ganku. W tej chwili skrzypnęły drzwi od dużej, staroświeckiej sieni i ukazała się w nich kobieta średniego wieku, nauczycielka dzieci, a za nią delikatna jasnowłosa dziewczynka.

- Z nieba mi pani spadła, panno Wiktorio. Proszę usiąść tu obok mnie i zrobić możliwie obojętny i najprzyjemniejszy wyraz twarzy, a ty, Olesiu, idź się bawić ze Stasiem.

Po chwili ustał gorączkowy ruch. Fornale odjechali w podwórze, zatoczono wozy na miejsce, nic nie zdradzało ukrytego niepokoju mieszkańców, a i Pan Józef z każdą chwilą więcej opanowywał rozigrane nerwy i odzyskiwał zimną krew.

Tymczasem szumie i butnie, dzwoniąc strzemionami i brzęcząc szablą, przymaszerował przed dom oddział dragonów, a za nim zatoczyły się kibitki z piechotą, którą dla pośpiechu widać wsadzono na wozy. Strojny i wymuskany oficer dragonów zdetonował się na widok sielankowego obrazka, jaki miał przed oczami. Na ganku siedział spokojnie starszy, siwy pan, zajęty rozmową z kobietą śmiejącą się, trochę nerwowo wprawdzie, ale często i głośno, a przed domem dwoje dzieci bawiło się wesoło z chartami.

Bardzo dumny i pewien siebie pułkownik, stropił się nie co. Spokój pana Józefa zaskoczył go. Stanowczo tak nie wyglądał człowiek mający nieczyste wobec władzy sumienie.

Gospodarz podniósł się na widok zeskakującego z konia oficera.

- Czemu mam honor zawdzięczać wizytę ? – zapytał z lekką ironią.

- Rewizja !

- Proszę – odrzekł swobodnie pan Józef. Szerokim ruchem ręki ukazał dom i zabudowanie, brawurując umyślnie, aby jak najdalej usunąć podejrzenie.

Zaczęły się bardzo systematyczne i skrupulatne poszukiwania. Przewrócono pałac od piwnic do strychu, przetrząśnięto budynki gospodarcze, fabryczne, wreszcie rewizja pod kierunkiem wachmistrza doszła do gorzelni.

Oficer roztasował się w pałacu, rozkazawszy przygotować posiłek dla całego oddziału.

W gorzelni na progu piwnicy, pełnej butelek z wódką, stał Mikołaj w mundurze podoficera piechoty z krzyżami i medalami za waleczność przypiętymi do piersi.

Uśmiechnięty od ucha do ucha, witał żołdatów i wachmistrza, niby starszy kolega.

Mikołaj, były carski żołnierz, nienawidził Moskali całą siłą zaciętej mazurskiej natury. Dwadzieścia pięć lat młodości, sił, zdrowia, wydarła mu przymusowa służba w rosyjskim wojsku. Dwadzieścia pięć lat ! – Był ledwie pod wąsem, gdy go od domu i umiłowanej dziewczyny wziął ukaz carski – wrócił steranym starcem.

Wprawdzie miał na mundurze klika błyskotek na kolorowych wstążeczkach, zdobytych na wojnie krymskiej, w obronie moskiewskich, obcych interesów, ale zapłacił za nie krwią i trudem, poniewierką pod wrażym batem, rodziną, której już nie zobaczył i samotnością na starość, to też dobrze pamiętał co był winien i rachunek ten nigdy nie schodził mu z myśli.

Teraz pragnął za wszelką cenę ocalić broń dla partii, wykorzystywał więc mundur rosyjski, aby zmylić nachodźców.

- Zdarowo braccy ! – wołał, ściskając dłoń wachmistrza – ot i kolegów się w gościnę doczekał ! Miło żołnierzowi wojennych ludzi zobaczyć i o dawnych czasach pogwarzyć !

- Zdorowo brat ! Czto zdies dielajesz ? Wot ty saldat i chrusty u tibia jest, tak ty dobrze batiuszku cariu służyć !

- No da da ... - potakiwał Mikołaj, a w myśli dodał - Już ja mu usłużę, choćby i do korony niebieskiej.

- Tak skazi, jest u was kakoje – to nibud a ruzie ? Zanczyt się szaszki ? ruzie ?

- Konieczno jest ! U naszego panicza dierewionnaja szaszka.

- Tfy ! – splunął ze złością zawiedziony wachmistrz, który pierwsze słowa Mikołaja wziął za dobrą monetę.

- Ot tawariszcze – nie dał mu dalej prowadzić badań sprytny stróż – napijmy się wódki na zdrowie i druźbu.

- Nie można, rewizja ! – zaprotestował wachmistrz.

- Czort pabieri obysk ! Wódka u mnie pierwszej sort. Pażałujsta ! – zapraszał Mikołaj rozlewając czysty spirytus.

Wachmistrz wahał się, ale spirytus tak apetycznie błyszczał w szklankach ! Pokusa była zbyt wielka.

Żołnierze pociągnęli raz, drugi i splunęli z uznaniem, podstawiając ponownie szklanki.

- Primo preliet ! Wodka kak ...

- Pijcie braccy ! – zachęcał stróż wystawiając nowe butelki. Pijcie – choćby do zdechu – dokończył pod nosem.

Żołnierzom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Szklanki krążyły gęsto, zapanował nastrój wylany, braterski. Wachmistrz całując Mikołaja z dubeltówki – wot czestnyj czelawiek ! Drug ! tawariszcz. – mamrotał z uznaniem.

- Da zdrastwujet ! – huknęli żołnierze.

- Nie braccy, car wsiegda pierwszej – zaprotestował wachmistrz i nagle:

- Da zdrastwujet jewo impieratorskoje wielichestwo ! - huknął, prężąc się i podnosząc szklankę w górę.

- Da zdrastwujet ! - powtórzyli żołnierze.

- Pijcie, pijcie – dolewał Mikołaj, przewracając jednocześnie rękawem swoją szklankę.

- Wolalbym trucizny lyknać, niż wypić to zdrowie – pomyślał.

Wiwaty, okrzyki, śmiechy napępniały piwnicę. Zapomnieli o rewizji, a tuż obok w kącie zasunięte w nisze ścienne i zasypane stosem potłuczonych butelek spoczywały spokojnie skrzynki pełne nowiutkich karabinów, szabel, rewolwerów.

Tymczasem, dziwnym zbiegiem losu, rewizja nigdzie nie dała żadnych rezultatów. Przetrząsnięto każdy kąt bo była denuncjacja i Moskale szukali na pewnego. Daremnie ! Nikomu nie przyszło na myśl, że tak cenna zdobycz, taki dowód winy, może stać na samym wierzchu.

W pałacu przy winie i wykwintnym obiedzie, denerwował się pułkownik, a w starej pralni na pakach z mundurami i siodłami zastawiono dla żołnierzy misy z barszczem, kielbasą i ziemniakami.

Minęło kilka godzin. Słońce powoli przesunęło się na zachód, park cały dyszał wilgotnymi woniami liści i kwiatów w podwórzu rozległy się porykiwania wracającego z pastwisk bydła, rzenie koni, pędzonych do wodopoju lub owiec ... ot zwykły, codzienny gwar spokojnego, roboczego dnia. Tylko serca i nerwy ludzkie naprężone do ostatnich granic, biły i pulsowały mocno, mocno nie tak jak zazwyczaj.

Wreszcie pułkownik podniósł się od stołu, skinął na adiutanta.

- Siodłać konie ! – rozkazał krótko.

Dwórn odetchnął.

Żołnierze kulbaczyli konie, ładowali kibitki, pod pałac podprowadzono dwa prześliczne kasztany.

Pułkownik chmurny wychodził na ganek.

- No i jakiż rezultat poszukiwań ? – ze źle ukrytą ironią zapytał pan Józef.

- Wsio błagopalcuzno, wieszci niet – odburknął pułkownik – donos był fałszywy.

- Wolno zapytać o co zostałem posądzony i co to za wieszci ? Musiało być niepoślednie podejrzenie, jeśli pan pułkownik sam się fatygował – z lekką złośliwością zauważył pan Józef.

- Miał pan odebrać z kolei mundury, broń i uprzęż (panu Józefowi mrówki przeszły po plecach) – Widocznie ktoś miał złość do pana i doniósł fałszywie, ale odpowie teraz za wprowadzenie w błąd władzy.

- I słusznie ! Powinien dobrze odpowiedzieć ! I tak panowie mają dość roboty z prawdziwymi donosami.

Pułkownik dosiadł konia, szwadron sformował czwórki, wózki wyciągnęły się długim sznurem za konnicą, jeden tylko opóźniony stał jeszcze za dworem, a żołnierze uwijali się przy nim, majstrowali coś, oglądali.

- Chto to ? – rzucił pułkownik.

Adiutant podjechał klusem.

- Chto zdies ?

- Deska się wylała wasze wysokorodje – meldował podoficer – wot Iwan sukinsyn jak na wóz wlaził, załamał. Wiadomo, siem pudów waży ! Trzeba teraz załatać.

Adiutant rozejrzał się wokoło, przez otwarte szeroko drzwi starej pralni, zobaczył stojące, duże, mocne skrzynie.

- Odlamać deskę – rozkazał .

Dwaj żołnierze poskoczyli żywo, oficer podjechał za nimi.

Podważone bagnetami wieko odskoczyło łatwo, z głębi błysnęły srebrem guzów i obszyć, zaśmiały się pomarańczem wyłogów grantowe, ułańskie mundury.

Żołnierze oniemieli, adiutant nie wierzył oczom.

Zdumienie trwało jednak krótko.

- Rozbijać skrzynie – krzyknął oficer, zawinął konia i pognął jak wicher przed dwór.

- Naszli wieszci ! – krzyczał już z daleka.

Zakołowało przed pałacem. Piechota mrowiem sypnęła się z wozu ku pralni.

Pułkownik ukazał dragonom zbladłego jak ściana pana Józefa.

- Arestowat ! – krzyknął – obstawić budynki dom, sprowadzić wszystkim służbę – poczym pogalopował na miejsce sensacyjnego odkrycia.

Tu panował nieopisany hałas i zamęt. Dziesiątki chciwych rąk rwały z rozbitych skrzyń mundury, konfederatki, inni wyciągali z tłoku na dwór całe jeszcze skrzynie, aby swobodnie dobić się do łupu.

- Ura ! ura ! Wot kakije chitryje buntowszczyki ! Miateżniki, swołocz ! Pod stienku buntowszczikow ! wieszat ! – krzyczały pomieszane ochryple głosy. Część jednak nastrojona była krotochwilnie.

- Isz, Kola, Kajko priekrasnyj polskij oficer ! – wołał wielki, czerwony na gębie, ospowaty drab, wciągając na mundur grantową ulankę, niebaczny, że szwy trzeszczały i pękały jak długie, poczym nacisnąwszy na ucho konfederatkę począł wykrzywiać się jak poliszynel, prężyć, salutować, rzucając towarzyszom sprośne, grube dowcipy.

- A ha. ha, ha! wyło rozwydrzone żołdactwo.

Przykład podzialał. Momentalnie rozchwytano resztę zdobywcy. Ten miał na głowie rogatywkę, tamten nie dopięty na piersiach mundur, ów spodnie wciągnięte na zakurzone buty, wyciągnięta gdzieś z wozu pojawiła się harmonia, więc poniektóry już brał się pod boki i puszczał w prisiudy.

Przybycie pułkownika podzialało jak zimna woda, żołnierze nie wiedzieli jak przyjmie tę maskaradę. A nuż jest w złym humorze i całą wściekłość na nich wyleje ?... Mignęło im w myślach widmo palek i więzień.

Ale pułkownik był w wysmienitym usposobieniu.

- Niczewo rebiata, poswawolcie - rzekł łaskawie, poczym zwrócił się do adiutanta:

- Rozbić wszystkie skrzynie, przeliczyć i spisać zawartość, sprawdzić czy jest broń, ile i jaka. Zamelduje mi pan natychmiast wynik. Ja tymczasem zacznę śledztwo.

Przed pałacem zbита w gromadkę służba czekała swego losu. Na przodzie, wypchnięty przez towarzyszy, błyszczał orderami Mikołaj. Za nim kulilo się kilku mężczyzn i dwie zawodzące dziewczyny. Na ganku, obstawiony bagnietami stał pan Józef. Był już zupełnie zrezygnowany i spokojny, gotów przyjąć najgorszy los. Tylko oczy jak zahipnotyzowane utkwili w głęb ganku, gdzie do wylęklej, trzęsącej się nauczycielki tuliły się - splakana dziewczynka i chłopiec z mocno zaciśniętymi piąstkami.

- Jaki będzie los tych piskląt, gdy ojca niestanie? - świdrowato upiornie w mózgu pana Józefa.

Zdawało mu się, że wszystkie myśli uleciały gdzieś w nicość, w głowie została jakaś żrąca, przeogromna pustka, a w niej kołaczące się jedno w kółko pytanie:

- Jaki będzie ich los ?.. Jaki będzie ?..

Pułkownik rozsiadł się wygodnie w ogrodowym fotelu z pogardą, spojrzął na lamentującą gromadkę służby i przymrużone oczy zwrócił na gospodarza. Chwilę długą bawił się wrażeniem, jakie jego osoba czyniła na zgromadzonych, czuł swą siłę i władzę, napawał się nią, sycił, upajał trwogą, swych ofiar, niby tygrys trzymający w pazurach śmiertelnie ranione zwierzę, wreszcie rzucił ze ścieśnionych ironicznie warg:

- Wot, czoże gaspadin i było czego szukać?

- A?.. tylko to pytanie, czy my wsio naszli?.. No, czas u nas jest i poszukamy jeszcze, no i pogawariu... Da, da, pa – ga – wa - riu.

- O czym?.. Wszak wszystko już...

- Maleril! Ja niczewo nie spraszynał... Ej wy ! - skinął na służbę - przybliżcie się - Mówił teraz już tylko po polsku, mieszając zaledwie czasem rosyjskie wyrażenia.

- Kto i kiedy przywiózł te mundury?

W zbitej gromadce służby panowało głuche milczenie, dziewczyny tylko pochlipywały, wycierając głośno nosy.

- Atwieczajcie ! Wy tu nie nic winni. Was obmaniwali. Jak powiecie szczerą prawdę, to krzywdy wam nikt nie zdielajet. Jeszcze władza nagrodę obmyśli. A inaczej do tiurmy, albo i w Sybir ! Pojeli ?!

- My nie wiemy - zdobył się nareszcie na odwagę odpowiedzi ogrodnik.

- Jak to wy nie wiecie?.. - silił się na spokój i łaskawość pułkownik - No skrzynie nie szpilki. wy wiedzieli kto przywiózł i kiedy.

-My nie wiedzielim, co w skrzyniach, a i nasz pan też nie wiedział. Przywieźli noc jacyś obcy i zwalili pod pałac. Przykazali pilnować i nie puścić ani pary z gęby, bo się pomszczą – wysunął się śmieiej naprzód Mikołaj.

- Aha?... Wy nie znali ! Charaszo !... No, a co z tem mieli później zrobić?

Znów zapadło milczenie.

- Otwieczajcie! No ! Skariejel!... – huknął pułkownik, unosząc się groźnie z miejsca.

W tej chwili nadjechał galopem adiutant.

- Panie pułkowniku - meldował - obliczono: mundury, uprząż, siodła dla całego szwadronu. Broni żadnej niema !...

- Jak to nie ma?... Musi być... Raz jeszcze przeszukać wszystko, zrewidować ludzi. Może w ogrodzie zakopane?

Zaczął się istny sądny dzień. Przewrócono wszystko do góry nogami. Służbie przetrząsano odzież, nigdzie najmniejszego drobiazgu, który mógłby naprowadzić na jakiś ślad. Pułkownik wpadł we wściekłość!

Najważniejsza część zdobyczy wymykała mu się z rąk.

- Kuda aruzie?! Krzyknął, przyskakując z pięściami do więźnia.

- Słowo szlacheckie, że nie wiem - odrzekł poważnie i z godnością pan Józef.

Jakaś pewność niezmacona uderzyła z tych słów. Rzeczywiście tylko Mikołaj i parobek, który mu pomagał wiedzieli, gdzie się znajduje ów nieoceniony dla partii skarb, ale parobek wywiał przezornie w pole, a Mikołaj wolał stracić życie, niż oddać we wraże ręce tak wtedy trudną, do zdobycia broń. Pan Józef mógł nawet przysięgać, że nie wie o niczym. Pułkownik wyczuł to z odpowiedzi uwiecznionego, to też badania jego poszły w innym kierunku.

Cała jego wściekłość skierowała się teraz na służbę, chwilę patrzył na zbitą gromadkę, poczym wiedziony intuicją zatrzymał dłużej wzrok na Mikołaju. Uderzyły go ordery i podoficerski uniform stróża. Dlaczego starzec miał na sobie ten mundur? Nie wyglądał zupełnie na przyjaciela Rosjan, przeciwnie nawet, gdzieś na dnie jego oczu czaiła się zimna, zacięta nienawiść. Coś się tu wydawało podejrzane.

- Ej, starik - zagrmiał pułkownik - tyś odbierał skrzynie, musisz wiedzieć gdzie reszta. Gadaj!

- Ja nie wiem, panie - odparł stróż, robiąc ukradkiem na piersi znak krzyża. - Co zrzucili z wozów tom wziął i kazał przenieść do pralni. Ledwieśmy zladowali to już i wojsko nadeszło. Aniby czasu nie było, żeby co ukrywać!

Thumaczenie zdawało się być słuszne, jednakże długo hamowana złość pułkownika musiała gdzieś znaleźć ujście.

- Łziesz! - krzyknął podnosząc się z miejsca. - Gadaj gdzie broń?

- Nie wiem o żadnej broni.

- Ja ci przypomnę, sabako - pienieł się pułkownik - Brać go!

W mig znalazły się chętne ręce, po chwili Mikołaj w strzępach odzieży leżał w pyle przed gankiem. Świsnęły baty...

Pan Józef porwał się z pięściami na pomoc, ale ostrza bagnetów zagroziły mu drogę, zasłonił więc tylko oczy rękami i w poczuciu własnej bezsilności trząsł się jak w febrze; panna Wiktoria z krzykiem uciekła w głąb domu, dzieci wystraszone i splakane przycupnęły na ziemi w kącie ganku, a dwie dziewczyny znów zaczęły zawodzić przeraźliwie.

- Uspokoić - wskazał na nie dowódca.

Kolby i pięści żołdackie prędko spełniły zadanie.

Pułkownik z satysfakcją patrzył na krwawe pręgi na ciele katowanego:

- Gdzie broń - powtarzał od czasu do czasu.

Mikołaj początkowo ściał zęby i milczał coraz częściej jednak jęk wydobywał się z jego ściśniętych ust, aż przeszedł w długi bolesny krzyk.

- Powiem już wszystko powiem zajęczał wreszcie.

Pułkownik skinął. Postawiono starca na nogi. Biedak chwiał się, staniał, nie mogąc oprzytomnieć.

- W ody... wyszeptał wreszcie.

Jakiś żołnierz skoczył do studni, po chwili powrócił z pełnym garnkiem.

Starzec pił chciwie.

- Gdzie broń? Mów! - niecierpliwił się pułkownik.

- Zaraz... spocznę nieco... - zwilżył sobie skronie i ciało odzyskując powoli siły.

- O Jezu! już mi lepiej!... Zaraz... tylko mi siły wrócą trochę - mówił bezładnie.

- Gdzie broń?! Gdzie broń?!

Stróż jakby mu nagle sił przybyło, podniósł dumnie głowę i z niepokonaną, nienawiścią spojrzął na swoich katów.

- Kiedy... ja.... nie wiem! - padło wreszcie twardo i wyraźnie.

Pułkownik zupełnie wyszedł z równowagi.

- Bij! - krzyknął.

Powtórzyło się to sarno. Mikołaj tracąc siły obiecywał wyznać wszystko, oprzytomniawszy twierdził uparcie, że nic nie wie. Nareszcie omdlał. Pułkownik przekonawszy się, że nic nie wskóra i nabrawszy przekonania, że Mikołaj oczywiście nic nie wiedział dał rozkaz odjazdu. dragoni dosiedli wierzchowców, piechota zajęła podwozy, puszczone nareszcie służba rozpiechła się po domu. Pana Józefa wsadzono pod eskortą na wóz, do powozu, a nawet bryki nie pozwolił pułkownik zaprzęgać, na drugim wózku jechał Mieczysław Chrzóstowski, urzędnik cukrowni aresztowany również, ponieważ na podstawie czyichś niebacznych zeznań zamieszano go również do sprawy.

Szumnie i butnie dzwoniąc szablą brzęcząc strzemionami odmaszerowało wojsko śpiewając i wiwatując, aż się echo po polach niosło. Słońce już zachodziło, czerwone promienie zapaliły się w ostrogach i guzach, zamigotały w pochwach szable i oblały purpurowym światłem krwawy strzęp ludzki u podjazdu i dwoje samotnych dzieci na ganku...

Głucho toczyły się wozy po szosie, tumany kurzu i zapadający zmrok dawno już zakryły Dobrzelin, a pan Józef patrzył ciągle w tę stronę. Gościniec skręcił w kierunku Łęczycy, więźniowi było jednak wszystko jedno gdzie jedzie, myślał bez przerwy o dzieciach i nie wiedzącej o niczym żonie. Swoje życie uważał za przegrane interesowała go jedynie przyszłość rodziny. Nie czuł, nie słyszał klekotu i brzęku roztrzęsionego wozu, nie czuł wstrząśnień na gołych deskach, objających mu boki, nie widział nawet twarzy swych przymusowych towarzyszy. Z zadumy ocucił go podniesiony głos żołnierza, siedzącego obok na wozie. "Paszoł sukinsyn"!

Pan Józef zdrętwiał i machinalnie przeżegnał się. Przed oczami mignęła mu ręka błyskająca nożem a potem kolba odpychająca napastnika.

- Paszoł won - powtórzył ten sam głos. Napadający cofnął się.

- Człowieku, czemu mnie ratujesz? - spytał zdumiony więzień.

Mnie was żal - odrzekł soldat. - Wot u was malczyk ostał doma i doczka krasywa... Ej pan, paczemu wy w miatież poszli?... wy teraz prapali!... prapali!...

- Ty tego nie zrozumiesz, a żem przepadł wiem, czeka mie Sybir, albo katorga... Trudno!..

Katorga możet nie - pocieszał żołnierz - ale powiesić to was, panie powieszą wy winowat, tak panie i powieszą. Zawsze to lepsze od katorgi, ale was i tak szkoda. Ot szkoda!..

- Tfu! Trofim! czemu ty z buntowszczykiem rozmawiasz? - wmieszał się nagle jeden z eskortujących dragonów, w którym pan Józef poznał po głosie zaledwie odpędzonego napastnika. - Lepiej z nim skończyć. Prykazano riezat miatieżników, tak i ja budu riezat, tego buntowszczyka. - Pochylił sił z konia sięgając znów nożem szyi pana Józefa. Ku twarzy więźnia pochyliło się ohydne, mongolskie oblicze s skośnych oczach, wystających kościach policzkowych i spłaszczonym nosie; oblicze małpy z tępym wyrazem zwierzęcego okrucieństwa wykrzywającym rysy.

Pan Józef był pewien, że ostatnia godzina nadchodzi, ale Trofim porwał się gwałtownie i kolbą z całych sił uderzył konia napastnika. Wierzchowiec szarpnął się naprzód, omal nie zrzucając jeźdźca. Dragon szybko opanował konie i młyńcem zawrócił ku wrogowi. Oczy ciskały mu złe błyski, na wargi wystąpiła piana. Trofim osłonił sobą więźnia i nastawił bagnet.

Zanosilo się na dużą awanturę, ale jakiś hałas, zamęt na przedzie oddziału i głośnie komendy oficerów odwróciły uwagę żołnierzy.

Zbliżano się już do Łęczycy. Upojonym wynikiem wyprawy żołdatom zaświtała myśl splatania załozde miasta figla. Za zgodą pułkownika na czoło oddziału wysunęli się żołnierze przebrani w mundury powstańców. Spiewano, hałasowano, wznoszono okrzyki. Ktoś „życzliwy”, zaalarmowany krzykami, na leb na szyję pchnął powstańca do miasta z doniesieniem o nadciągającej rzekomo licznej partii powstańców. Zapadający zmrok ułatwił jeszcze tę maskaradę. Pozwano załogę pod bron i wysunięto natychmiast silny oddział wojska, aby osłonił wejście do miasta. Zdumionym oczom pułkownika i dragonów ukazały się regularne szeregi zajmujące na gwałt pozycje, obsadzające domy. Gdzieś wdali po bruku dudniły działa...

Wieczór był jasny, ale mrok nie pozwalał rozpoznać mundurów i broni. W szeregach dragonów zapanowała konsternacja. A nuż to Polacy odcinają drogę powrotną?

- Stój ! - skomenderował pułkownik.

Oddział zatrzymał się młodzi oficerowie wydali odpowiednie komendy. Żołnierze na gwałt ściągali z pleców karabinki, piechota zsiadała z wozów i wyciągały się linią w poprzek drogi. Przed miastem również zapanował gorączkowy ruch, Lada chwila należało się spodziewać rozpoczęcia ognia. Pułkownik skinął na adiutanta.

-To niemożliwe, aby powstańcy tak prędko zajęli miasto. Musiało zajść jakieś nieporozumienie. - Nagle uderzył się ręką w czoło.

- Chi - che... che!... - wybuchnął śmiechem, ukazując przebranych żołdatów. - Ot przyczyna! Wzięli nas za miatieżników ! Podjedź pan naprzód wyświecić sprawę.

Adiutant dał znak kilku żołnierzom na wszelki wypadek przywiązano do piki dużą białą plachtę, poczym oddziałek pogalopował do miasta.

Wojsko zamarło w oczekiwaniu, więzień, nie rozumiejąc co się dzieje, znów zapadł w poprzednią zadumę. Wreszcie sprawa się wyjaśniła. Rzeczywiście pułkownik miał rację, załoga miasta wzięła nadciągających za oddział powstańców. Przyczyną komicznego nieporozumienia były owe zabrane w Dobrzelinie mundury.

Skoro tylko wozy ruszyły, Trofim znów zaczął z więźniem pogawędkę.

- Ja nie rozumiem, czemu wy, pan, wleźli w takie złe rzeczy? U was dostatek, jej Bohu, jaki dostatek ! I dziątek dwoje ! to było spokojnie w domu siedzieć, a nie do buntu się mieszać, to i grzech nawet władzy i cara nie słuchać. Ot i co? Was powieszą ! Wy, pan, jeszcze by ładne latka tyli, a tak powieszą ! Na pewno powieszą !

Było w tym prostackim współczuciu coś wzruszającego, coś biorącego mocno za serce, jakaś głębia uczucia, nie umiającego znaleźć odpowiedniego wyrazu.

- Ty z jakich stron? - spytał pan Józef.

- Z pod Mińska, z chutoru.

- A więc Białorus - pomyślał pan Józef. - Swój ! Tak swój, choć odrębny pojęciami i mową.

A przecież ta wspólnota nieświadoma dziś dla siebie znalazła wyraz we współczuciu dla zbuntowanych.

Więzień pomacał ręką kieszenie, tulila się w ich jakimś cudem ocalala po rewizji torebka z pieniędzmi, kilka talarów zaledwie. Pan Józef wcisnął je w ręce żołnierza.

- Ciężko ci pewno, bracie, i wielu rzeczy brak - weź więc...

Trofim cofnął dłoń, jakby się żaru dotknął.

- *Ja was panie nie za pieniądze bronil - rzekł, patrząc z serdecznym wyrzutem na więźnia. - Mnie was żal, a za to się nie płaci. Wasz grosz w więzieniu także się przyda.*

Pan Józef uściśnął grubą spracowaną dłoń.

- *A więc Bóg Ci zapłaci !*

W tej chwili wozy stanęły przed tak zwanym odwachem szlacheckim. Więzień zsiadł i za chwilę zamknęły się za nim ciężkie, żelazne drzwi, zamknięte ze zgrzytem zardzewiałych zawias, z głuchym brzękiem łańcuchów i zasuw, na długie dni żalu, tęsknot, cierpień i łez, ronionych kryjomo...

Mikołaj z jękiem obrócił się na łóżku, poczym otworzył oczy. Nie mógł zmiarkować czemu to jest w pościeli i całe ciało ma obolałe jak jedna rana.

- *Widaćem zachorzał - pomyślał - ale nijak nie mogę sobie spomnieć kiej i co to za chorość ?*

Rozejrzał się z trudem po pokoju. W mroku przysłoniętych okien złościły się smutki południowego słońca, wlewającego się wszelkimi możliwymi szparkami. Na stoliczku w głowach łóżka stał cały szereg butelek z długimi zwitkami recept, słoików, maści leżały bandaże, szarpie... W pokoju znajdowały się dwie kobiety. Starsza cicho krztąła się przy porządkach, młodsza, wysoka, ładna i postawna blondynka siedziała przy łóżku. Gnębiły ją widać jakieś ci takie smutki, bo ręce zaplotła na kolanach, pochylila głowę i myślami zdawała się błądzić gdzieś bardzo daleko. Mikołaj patrzył na nią oczom nie wierząc.

- *Nasza pani ! – szepnął zdumiony. - Nie wiedzieć skąd się wzięła, dyć przecie była w Witoni na sianokosach.*

Pani Józefowa zauważyła widać poruszenie chorego, bo odwróciła na niego swe smutne oczy i zapytała :

- *Jakże tam, Mikołaju? Lepiej wam?... Myślałam, że już zembrzecie po tych kozackich nahajkach !*

Choremu w jednej chwili stanęła przed oczami rewizja, aresztowanie pana Józefa, własne okrutne poteranie i strata poniesiona przez partię.

- *Niech ich Bóg pokarze ! - szepnął mściwie, a potem zapyta! niespokojnie: - Co się stało z bronią ?*

- *Przyszli od Syrewicza, parobek pokazał gdzie ukryta i już dawno dostawiono do boru.*

- *Chwała Bogu!... A gdzie pan?*

- *W więzieniu.*

- *o mój Jezu! i nijakiego ratunku niema?*

Nie wiem, mój Mikołaju. Pieniądze to ze mnie ciągną do ostatniego grosza, ale nawet nie obiecują wiele. Już nie wiem skąd brać na te łapówki. Pan Ł. – ski [Łubieński] też w Warszawie starania robi, ale nie wiem, czy co wskóra.

- *To pan hrabia wrócił z zagranicy?*

- *Już ze cztery dni jak przyjechał. Tyle dokazał, że się z mężem widywać mogę, ale co dalej, Bóg jeden wie! To pewne, że póki tchu w piersi będę ratować męża. Jakoż pani Józefowa nie szczędziła starań i pieniędzy. Ale sprawa szła opornie, a co gorsze zaczęto przebąkiwać o zmianie namiestnika w Warszawie, o nowych, gorszych jeszcze represjach. Należało się spieszyć.*

Był to początek powstania. Wielki ks. Konstanty nie został jeszcze odwołany z Warszawy, krwawe rządy hrabiego Berga miały dopiero stać się dziełem przyszłości, rząd tymczasem, szczególnie w centrum kraju, jeszcze łudził się nadzieją zduszenie pożaru w zarodku, jeszcze chował pazury, jeszcze politykował, zostawiając nahajki i szubienice, jako ostatni argument.

Trzeba było wykorzystać moment, a przede wszystkim się spieszyć. Wreszcie komuś wtajemniczonemu w sprawę przysłała zbawienna myśl do głowy. U polskiego tajnego rządu wystarano się o dokument z odpowiednią datą.

Dokument ten głosił, że pan Józef zostanie przez powstańców uznany za zdrajcę i skazany na śmierć, jeśli nie przyjmie owego transportu mundurów (o broni naturalnie nie wspomniano) i nie zachowa o nim tajemnicy. Papier ten odpowiednio pomięty i zniszczony jakaś panna z okolicy podjęła się podać Chrząstowskiemu podczas widzenia w więzieniu. Wszystko udało się wedle planu. Pan Józef i Chrząstowski okazali dokument na śledztwie broniąc się nim przeciw czynionym zarzutom.

- Co miałem zrobić ? - mówił pan Józef.- Osierocić żonę i dzieci? któżby mię osłonił przed zemstą ?

-Mógł pan donieść władzy, ona by pana osłoniła.

-Zanim bym z donosem dojechał zabiliby mnie po drodze. Możecie żądać rzeczy możliwych, ale nikt nie może wymagać bym bez potrzeby kładł głowę pod miecz.

Papier poparty hojnie brzęczącą argumentacją zrobił wreszcie swoje, prócz tego sąd nie chciał burzyć ostatecznie opinii skazując tak znanego i szanowanego w okolicy obywatela. Kilka tygodni później nie liczono by się z podobnymi względami, ale w tym momencie parlamentowano jeszcze. Surowy wyrok mógł wywołać zbyt silne oburzenie i zrazić tych nielicznych „błogonadiożnych” którzy uważali powstanie za szaleństwo i mieli jakiegokolwiek co do Moskali złudzenie. Trzeba to by to brać pod uwagę.

- Wasze szczęście - rzekł do pana Józefa prowadzący sprawę - że w Warszawie rządzi jeszcze wielki ks. Konstanty. Niedługo władzę obejmie hrabia Berg. Zmienią się ludzie i system, skończą się wasze wybryki ! Nastaną czasy żelaznych rządów. Za dni kilka nic nie ocaliłoby was co najmniej od Sybiru.... A teraz jest pan wolny !

Gdy pan Józef z Chrząstowskim, uwolnionym również, spotkali się za murami więzienia uścisnęli sobie po przyjacielsku dłonie.

- No, wykpiłiśmy się jakoś - rzekł Chrząstowski

- Bóg poszczęścił - odparł pan Józef.

- Cóż teraz? wracamy każdy do swojego zajęcia? Naturalnie, ja żywić i ubierać partie.

- A ja do lasu.

Jakoż wrócił Chrząstowski został dowódcą u Syrewicza, pan Józef dalej dostawiał powstańcom żywność, odzienie, zawiadamiał o ruchach wojsk moskiewskich) i t. p. Pomagał mu Mikołaj, który nagrodzony ziemią i piękną zagrodą, nie służył już wprawdzie, ale nienawidził Moskali jeszcze silniej niż przedtem i wiernie pomagał sprawie ojczystej.”

Nr. 10.

Dnia 15 maja 1932 r.

Rok V.

KRONIKA PARAFJALNA

DWUTYGODNIK

Parafia Porabka

Diecezja Częstochowska

Szczęście Boże!



Sw. Łukasz maluje obraz Matki Bożej

Par. Porabka Diecezja Częstochowska dnia 15 stycznia 1932 r.

Nr. 2

Rok V

KRONIKA PARAFJALNA

DWUTYGODNIK

Szczęście Boże!



Powstanie sycynowe.